

ŻONA PIANISTY

Halina Szpilman
w rozmowie z Filipem Mazurczakiem

PUBLICZNE UDOSTĘPNIANIE CAŁOŚCI LUB FRAGMENTU UTWORU ZABRONIONE

© Wydawnictwo WAM, 2020

© Halina Szpilman, 2020

© Filip Mazurczak, 2020

Opieka redakcyjna: Sławomir Rusin

Redakcja: Kamil Piotr, Joanna Podsadecka

Konsultacja historyczna: Marian Turski

Korekta: Dariusz Godoś

Skład i opracowanie graficzne: Lucyna Sterczewska

Zdjęcia: z arch. rodziny Szpilmanów

Projekt okładki: Marcin Jakubionek

ISBN 978-83-277-2572-1

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: ABEDIK • Poznań

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 80 g vol. 1.6
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Rozdział I

DWA SPOTKANIA JEDNA MIŁOŚĆ

Jak pani poznała Władysława Szpilmana?

W 1948 roku matka mojej przyjaciółki postanowiła pojechać na kurację do Krynicy. Przyjaciółka wówczas zaproponowała: „Słuchaj, może pojechałabyś tam ze mną? Pochodzimy trochę po górach. Będzie przyjemnie”. Nie miałam ochoty jechać, ale ona tak mnie namawiała, że uległam. Rzeczywiście było bardzo miło, wędrowaliśmy po górach, chodziłyśmy na tańce. Pobyt był urozmaicony. Na jednej z potańcówek zauważyłam pana, który wyraźnie mnie obserwował. Próbował się ze mną zapoznać, ale to były czasy, kiedy nie zaczepiano kogoś na ulicy – nie wypadało. Tańce odbywały się na Górze Parkowej i tego pana zawsze tam widywałam. Ale nie było sposobności i ostatecznie się nie poznaliśmy. Na tym ten epizod się skończył.

Wróciliśmy z przyjaciółką do Radomia, a o spojrzeniach tego mężczyzny w zasadzie zapomniałam. Pewnego dnia mój ojciec, który już wtedy figurował na indeksie (bo to był 1949 rok), powiedział mi, że ma zapewnione wczasy poselskie

ŻONA PIANISTY

w Krynicy i że mogłabym z nim pojechać. Odrzekłam, że przecież tam byłam w zeszłym roku i nie mam ochoty jechać dwa razy z rzędu w to samo miejsce. Po zastanowieniu się uznałam jednak, że nie mogę ojcu odmówić. Na skutek różnych niesnasek między rodzicami doszło do separacji, choć nigdy formalnie się nie rozwiedli. Zatem z ojcem nie miałam kontaktu na co dzień. Zdecydowałam się więc pojechać z nim na te wczasy, by móc spędzić z nim trochę czasu.

Mieliśmy kwaterę w Nowym Domu Zdrojowym. Przyjechałam wcześniej z Krakowa, usiadłam w sali jadalnej, spożywałam kolację. Nagle ktoś mnie krzesłem stuknął od tyłu. Patrząc, a to ten człowiek, który w ubiegłym roku tak mi się przyglądał na Parkowej. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, ja tak samo na niego. Byłam w obecności rówieśników, więc nie bardzo miał jak mnie zagadnąć. Wtedy nie wypadało, by obcy mężczyzna przedstawiał się kobiecie w takich okolicznościach. Przychodził na dansingi, ale ewidentnie nie po to, by tańczyć, tylko żeby na mnie patrzeć.

Pewnego razu próbował rozpocząć rozmowę, kiedy staliśmy przy straganie. Nosiłam krzyżyk z granatu, który był pamiątką po mojej babci (mam go do dziś). Ten mężczyzna głośno powiedział wtedy do swojego znajomego: „Nie lubię, jak Żydówki ostentacyjnie noszą krzyżyki na piersi”. Zapewne widząc czarnowłosą, czarnooką dziewczynę, wziął mnie za Żydówkę. Wiele osób nie przyznawało się wtedy do swojego żydowskiego pochodzenia i w tym celu nosili katolickie symbole. On to powiedział, by mnie sprowokować.

DWA SPOTKANIA, JEDNA MIŁOŚĆ

Widzieliśmy się rok wcześniej, a teraz znowu się spotykamy, w tej samej miejscowości. Oficjalnie zostałam z nim wreszcie zapoznana przez jakiegoś literata w Nowym Domu Zdrojowym, który zresztą uwiecznił nas na zdjęciu – ono przetrwało do dzisiaj w moim archiwum.

Los nami pokierował. A może przeznaczenie? Urlopy w kurortach były wtedy modne. Pamiętam, że mój przyszły mąż miał tam różnych towarzyszy. Był dyrygent Górzyński ze swoją rodziną, była żona znanego rzeźbiarza, Henryka Kuny, Stefania, znana aktorka.

Mój nowy znajomy bardzo szybko próbował mnie przekonać, że właściwie to powinnam wyjść za niego za mąż. To mnie bawiło. Byłam studentką, w ogóle nie myślałam o małżeństwie, a tutaj nagle taka propozycja. Prawdę mówiąc, wyglądało to na żarty. Traktowałam to z przymrużeniem oka. Wydawało mi się, że nikt po trzech dniach znajomości nie może myśleć o małżeństwie. Później okazało się, że mój przyszły mąż rozmawiał z panią Kuną i prosił ją, żeby ona na mnie wpłynęła, ponieważ on naprawdę chce się ze mną ożenić. Pamiętam, jak mi tłumaczyła, że to jest taki dobry, miły, kulturalny człowiek i bardzo zdolny muzyk. Tak jakbym od tego miała uzależnić swoją decyzję o wyjściu za niego za mąż.

Pani od razu spodobała się Władysławowi Szpilmanowi. Czy to zadziało też w drugą stronę?

On interesująco wyglądał, ale wtedy nie wyobrażałam sobie siebie w roli żony. Obojętne, czy kandydat podobałby mi się,

ŻONA PIANISTY

czy nie. Byłam po drugim roku studiów. Uważałam, że na małżeństwo mam jeszcze czas. Miałam dwadzieścia jeden lat, chciałam skończyć studia, usamodzielnic się. Byłam zdania, że tak też może kobieta funkcjonować, niekoniecznie przy mężu i w otoczeniu dzieci. Uważałam, że niezależność to jest kwestia zasadnicza. Doszłam do takiego przekonania, patrząc na małżeństwo moich rodziców. Mama dawała sobie radę bez taty, ale w gruncie rzeczy była kobietą niepracującą zawodowo. Przez większość życia tylko mąż, dom i dzieci były na jej głowie, wyłącznie tym się zajmowała i tylko to stanowiło jej odpowiedzialność. A ja chciałam widzieć siebie jako osobę niezależną zawodowo. Dlatego uważałam, że muszę koniecznie kontynuować studia medyczne.

Ale po poznaniu przyszłego męża przeniosła się pani z Krakowa do Warszawy na studia?

Poznałam Władka w sierpniu 1949 roku, a przeniosłam się do Warszawy dopiero między lutym a marcem 1950 roku, w przerwie akademickiej. On musiał się postarać o to, żeby umożliwiono mi przeniesienie do stolicy. Udało mu się i wiosną byłam już w Warszawie, a potem zdecydowaliśmy, że w czerwcu się pobierzemy.

Czyli przez pewien czas to był związek na odległość?

Tak. Mąż pracował w Polskim Radiu, ale w Krakowie miała siedzibę orkiestra Jerzego Gerta, której był opiekunem, w związku z tym od czasu do czasu miał powody, by przyjechać

DWA SPOTKANIA, JEDNA MIŁOŚĆ

do Krakowa. Mieliśmy zatem możliwości spotkania się. Ale długo funkcjonowaliśmy na odległość – posyłał mi wtedy kwiaty. Czasem do Krakowa zjeżdżali jacyś muzycy albo urzędnicy, których znał, wtedy polecał im przesłać mi kwiaty. Odwiedził mnie któregoś razu w Krakowie i zobaczył doniczki z fiołkami alpejskimi. „Co się tak obstawiaś doniczkowymi kwiatami?” – zapytał. Odpowiedziałam: „Przecież to od ciebie są te kwiaty”. Bo ci ludzie, którzy na jego prośbę organizowali kwiatowe przesyłki, uważali, że cięte róże zwiędną. Doniczka to doniczka, więc przysyłali w niej fiołki alpejskie w imieniu mojego męża.

Po przeprowadzce do Warszawy mieszkałam na Saskiej Kępie. Władysław miał już mieszkanie przy ulicy Wilczej. Po wojnie istniał dom na Wilczej, o którym mówiło się: „dom radiowy”. Wszystkie ważne osoby związane z Polskim Radiem wtedy tam mieszkały. Mąż miał pokój z małą kuchnią, co na ówczesne czasy w Warszawie było wielką sprawą. Wszystko wokół było zrujnowane, a ten dom stał cały. Mieszkał tam między innymi też jego przyjaciel, znany pianista, muzyk dużego formatu – Roman Jasiński, który był dyrektorem muzycznym Polskiego Radia. Byli również inni, którzy mieli zasługi w dziedzinie kultury. Na przykład poeta Roman Sadowski, który zresztą pisał teksty dla mojego męża. On z kolei pracował w radiu w dziale literackim. Był też pan Kołaczkowski, który zajmował się muzyką ludową i organizował nagrania chórom ludowym w dziale Polskiego Radia. Wtedy działała tylko jedna stacja Polskiego Radia, pierwszy program, i ten muzyczny dział był dosyć rozbudowany.

ŻONA PIANISTY

Miała pani wtedy telefon?

Już działały prywatne linie telefoniczne, ale były jeszcze mocno ograniczone. Mój telefon pozostawał nieczynny między godziną ósmą a szesnastą. Można było z niego korzystać do ósmej rano i później, kiedy kończyły się godziny pracy biur, a linie były znacznie mniej obciążone. Obciążenia linii to był wtedy bardzo duży problem, wszystko było wciąż w budowie. To były lata 50., kiedy Warszawa prezentowała się zupełnie inaczej niż dziś. To była jedna wielka ruina. Marszałkowska, Stare Miasto, Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat zostały odbudowane dopiero później.

Dzisiejsze pokolenie żyje w zdecydowanie bardziej komfortowej rzeczywistości niż pani wtedy.

Tego w ogóle nie da się porównać. To było zupełnie inne życie. Byliśmy wdzięczni, że można zatelefonować chociaż w godzinach pozasłużbowych. Kiedy człowiek spojrzy wstecz, to wydaje mu się nieprawdopodobne, jak to kiedyś było i jak wyglądała Warszawa. Pamiętam, jak pierwszy raz byliśmy w Teatrze Polskim ze szkołą, na spektaklu *Lilla Weneda*. Przez Krakowskie Przedmieście szło się ścieżką między gruzami, dosłownie po ruinach, do tego – jakimś cudem odbudowanego – Teatru Polskiego. To nie było moje pierwsze zetknięcie ze zniszczoną stolicą, bo już wcześniej przyjeżdżałam tu wraz z ojcem. Kiedy wrócił w 1945 roku z niewoli, to niemal od razu zaczął działać. Bywał więc w Warszawie w różnych sprawach. Niejednokrotnie

DWA SPOTKANIA, JEDNA MIŁOŚĆ

zabierał mnie ze sobą, więc miałam pojęcie o tym, jak to miasto wygląda.

A jak wyglądała randka w 1950 roku w Warszawie?

Randka właściwie była trudna do zorganizowania. Kawiarnie już wtedy funkcjonowały, ale problemem było to, że... ja nie miałam czasu. Nawet kiedy przeniosłam się już z Krakowa do Warszawy, to nie miałam czasu na randki, bo studia były dla mnie sprawą najważniejszą. Znalazłam się w nowym miejscu. W Krakowie czułam się już jak u siebie, znałam środowisko mojego roku studiów, a tu nagle byłam znów nowa, stykałam się z ludźmi zupełnie mi nieznanymi. Musiałam odnaleźć się w nowej grupie. Zawsze w medycynie jest tak, że istnieją grupy kilkusobowe, w których człowiek pracuje, z którymi najczęściej się styka, w takich grupach prowadzone są ćwiczenia. Nie mogą się odbywać w zbyt licznej grupie, bo chociażby przy łóżku pacjenta nie możemy przecież stać wielką gromadą. Studentów musi być garstka, pod okiem szkolącego ich asystenta.

Codziennie trzeba było pokonywać duże odległości, bo wiele zajęć odbywało się poza zrujnowanym wciąż centrum; musiałam na przykład często jeździć na Pragę. W Krakowie jednak wszystko było skoncentrowane. Wszystkie kliniki oraz miejsca, w których odbywały się ćwiczenia i wykłady, mieściły się na ulicy Kopernika. W stolicy było trudniej organizacyjnie. Przejazdy zajmowały sporo czasu.

ŻONA PIANISTY

Zatem tak realnie to nie miałam zbyt wiele czasu na spotkania z przysłym mężem. Niemniej było już ustalone, że mamy się pobrać w czerwcu. Rzecz jasna wcześniej należało zamówić termin w urzędzie miasta i zapisać świadków ślubu. Urząd znajdował się na rogu Nowego Światu i Smolnej, tuż przy rondzie, a więc w centrum. Tam odbyła się ta uroczystość. Świadkami byli Czesław Lewicki i Janina Godlewska, żona Andrzeja Boguckiego. Podczas okupacji narażali oni swoje życie, by pomagać mojemu mężowi. Na szczęście przeżyli i później spotykaliśmy się w zupełnie innych warunkach, wcale nie wspominając tych strasznych wojennych chwil. W dniu naszego ślubu akurat spotkaliśmy się z dyrygentem Mieczysławem Mierzejewskim, który ożenił się ze znaną z okresu przedwojennego aktorką Janiną Romanówną. Składaliśmy sobie nawzajem życzenia, bo okazało się, że oni zawarli małżeństwo tuż przed nami.

Na Alejach Jerozolimskich, na Kruczej czy Nowogrodzkiej pozostało trochę budynków, które przetrwały bombardowania, ale poza tym wszystko było zrujnowane. Jeśli nawet nie przez bomby, to przez czas. I wymagało remontu. Więc mieszkanie w centrum miasta to była wielka sprawa, niewielu miało taką możliwość. Było to dla mnie bardzo wygodne, ze względu na ćwiczenia, które odbywały się w warszawskich szpitalach. Szpital Główny był na ulicy Nowogrodzkiej. Takie centrum szpitalne, które przetrwało z okresu przedwojennego, to Szpital Dzieciątka Jezus, a poza tym część oddalonych budynków, w których mieściły się oddziały pediatryczne.

DWA SPOTKANIA, JEDNA MIŁOŚĆ

Później powstał wielki szpital, który wtedy był odbudowywany, ale w 1950 roku jeszcze nie był gotowy. To był Instytut Gruźlicy. W tym czasie gruźlica była wciąż dużym problemem w kraju, ponieważ wprowadzanie właściwych leków było dopiero w toku, nie mówiąc już o tym, że nie było szczepień przeciwgruźliczych.

W 1947 roku pojawił się w Polsce pewien lekarz ze Szwecji o nazwisku Neumueller. Choć od 1890 roku istniał w Otwocku ośrodek zajmujący się gruźlicą, to Neumueller uruchomił w Polsce po wojnie z pomocą Duńskiego Czerwonego Krzyża program szczepień przeciw gruźlicy. W latach 50., po okresie wojny, po długiej epoce ubóstwa i braku możliwości leczenia, nadszedł wreszcie moment, kiedy zaczęto się zajmować profilaktyką poprzez szczepienia. Zostało wprowadzone także skuteczne leczenie. W Otwocku była w tym czasie nawet szkoła imienia Neumuellera, chciano w ten sposób uczcić jego działalność.

Po latach Instytut Gruźlicy, który – jak sama nazwa wskazywała – nastawiony był na leczenie przede wszystkim gruźlicy, został przemieniony w Centrum Chorób Płucnych, czyli rozszerzono jego działalność. Ta choroba, niegdyś straszna, jest znacznie mniejszym problemem w tej chwili. Oczywiście pod warunkiem, że nie przyjdzie znów okres, kiedy ludzie nie będą na nią szczepić dzieci. Są niestety różne bardzo niemądre inicjatywy, które przeciwstawiają się szczepieniom. Obserwuję pewne tendencje. Gdy byłam studentką, widziałam epidemię polio. To była ciężka choroba, która powodowała

ŻONA PIANISTY

porażenia różnych mięśni, włącznie z mięśniami oddechowymi, a więc dziecko czasem umierało z powodu niewydolności oddechowej. Potem w leczeniu zastosowano tak zwane płucoserce, które wspomagało oddychanie. Epidemia miała miejsce w latach 1953–1954, kiedy kończyłam studia medyczne w Warszawie. W tej chwili, Bogu dzięki, nie musimy się obawiać polio. Obecnie istnieje tylko teoretyczne prawdopodobieństwo, że może wrócić. Ale wróci, jeżeli ludzie będą na tyle niemądrzy, że nie będą na to szczepić dzieci.

Kiedy i dlaczego postanowiła pani zostać lekarzem?

Miałam zamiar pójść na architekturę. Co prawda chciałam na medycynę, ale uważałam, że będzie trudno i nie dam rady się dostać na ten kierunek. Mój ojciec, który nigdy się nie wtrącał ani do mojego wykształcenia, ani do jakichkolwiek decyzji, tym razem zabrał głos. Powiedział: „To nie ma sensu, żebyś szła na architekturę”. Był zaprzyjaźniony z małżeństwem architektów, Stanisławem i Barbarą Brukalskimi, profesorami na Politechnice Warszawskiej. Zawiózł mnie do nich i oni mieli poniekąd przemówić mi do rozsądku, że architektura nie będzie odpowiednim dla mnie wyborem.

Ojciec mówił: „Słuchaj, masz być lekarzem. Lekarz to jest osoba, która i w więzieniu, i w obozie zawsze może służyć ludziom”. Po wojnie taka argumentacja dla mnie była zupełnie absurdalna. Ale zaakceptowałam jego tok rozumowania, bo wiedziałam, ile przeżył i że w związku z tym wolno mu tak myśleć. Początkowo się na tę medycynę warszawską

DWA SPOTKANIA, JEDNA MIŁOŚĆ

nie dostałam, udało się dopiero w Krakowie, z odwołania. Do Warszawy nie dostałam się z powodu braku miejsc, choć zdałam egzamin. W międzyczasie ojciec pierwszy raz w życiu interweniował w mojej sprawie, załatwiając, żebym dostała się na farmację do Lublina. Otrzymałam już nawet indeks lubelski. W tym czasie pewien pan, który miał jakieś zobowiązania wobec ojca, dowiedział się, że zabrakło dla mnie miejsca w Warszawie. Prawdopodobnie to on zainterweniował, bo znalazło się nagle miejsce... w Krakowie.

Na samym początku nauki powiedziałam sobie: „Bogu dzięki, że trafiłam na te studia!”. Bo bardzo mi to psychicznie odpowiadało. Niewielu studentów medycyny pochodziło „z ludu”. Przeważali młodzi ludzie z krakowskich kręgów inteligenckich. Prawie wszyscy byli w moim wieku, czyli zaczynali studia w wieku osiemnastu czy dziewiętnastu lat. W Warszawie, ze względu na brak dostępu do edukacji podczas wojny, studenci często byli dużo starsi. Z kolei prawie wszyscy profesorowie byli z okresu przedwojennego. Obawiałam się jedynie, że może to być zawód zbyt ciężki dla mnie. Niepotrzebnie się martwiłam. Skończyłam studia, będąc mężatką i nawet mając dziecko. Trudności można pokonać, jeśli się tylko chce.

Wychodzi na to, że to ojciec wybrał mi zawód. Byłam zaskoczona jego zachowaniem, bo nawet mi się nie śniło, że będzie zajmował jakieś stanowisko w sprawie mojej przyszłości. Tym bardziej w kwestii wyboru zawodu. Później dziękowałam mu, że zdopingował mnie do działania we właściwym

ŻONA PIANISTY

kierunku. A kończyłam liceum humanistyczne, w którym z oczywistych względów nie było nacisku na przedmioty przyrodnicze. Jednak udało mi się bardzo wiele nadrobić i jakoś sobie na studiach medycznych radziłam.

A jak sobie pani radziła, łącząc wymagające studia z macierzyństwem?

Szybko zaszłam w ciążę. Mój starszy syn urodził się w maju 1951, a więc niespełna rok po naszym ślubie. Cięża była dla mnie problemem w kontekście studiów. Początkowo dostałam nagłej awersji do różnych zapachów i mogłam przez nie bardzo źle się poczuć. Na zajęciach mieliśmy kontakt na przykład z eterem, co było dla mnie trudne. Niejednokrotnie znajdowałam się w warunkach szpitalnych, zresztą drażnił mnie nie tylko zapach szpitala, ale i restauracji, w których nie byłam w stanie usiedzieć. Musiałam jeść rzeczy, które były niemal bezzapachowe. Początkowo nie wiedziałam, o co chodzi, dopiero chwilę później okazało się, że to ciąża na mnie tak zadziałała. Musiałam wziąć urlop dziekański, bo nie byłam w stanie funkcjonować jako studentka i uczestniczyć we wszystkich zajęciach czy chodzić do pacjentów. Ten urlop był mi bardzo nie na rękę, no ale na szali była sprawa wyższej wagi.

Po urodzeniu dziecka nie od razu mogłam wrócić na studia ze względu na opiekę nad nim. Nie mówiąc już o tym, że mieliśmy takie warunki mieszkaniowe, że nawet jakbym chciała kogoś wziąć do pomocy, to nie było miejsca, żeby egzystował

DWA SPOTKANIA, JEDNA MIŁOŚĆ

obok nas. W naszym pokoju stał fortepian, tapczan, mały stoliczek i dwa fotele. Nie było nawet miejsca na łóżko dla dziecka! Krzys spał w wiklinowym koszyku, którego kiedyś używano do przenoszenia bielizny. Był w nim jakiś siennik. Dziecko mogło być przenoszone z jednego miejsca na drugie w tym koszyku.

Kiedy później urodził się nam drugi syn, Andrzej, mieliśmy już inne mieszkanie. To były dwa pokoje, ale ja znowu położyłam młodszego syna do tego koszyka na bieliznę. Tak było wygodnie, jakoś można było go przenosić, nie trzeba było wkładać go do głębokiego łóżeczka. To był okres, kiedy wielu rzeczy nie dawało się kupić w sklepie. Do domu przychodziły kobiety i przynosiły jajka czy śmietanę ze wsi spod Warszawy. W ten sposób rozprowadzano żywność wiejską po różnych mieszkaniach. Te kobiety wiedziały, kto na co ma zapotrzebowanie, i zgłaszały się z tymi produktami. Pamiętam, że gdy raz przyszła do nas właśnie taka kobieta, zobaczyła dzieciaka w wiklinowym koszyku i powiedziała: „Wy tego dziecka chyba nie chcieliście”. Więc ja się pytam: „A dlaczego pani tak mówi?”. „No jak można takie dziecko do koszyka włożyć?”. Była oburzona, uważała, że to jest degradacja, włożyć dziecko do koszyka. A mnie to zupełnie nie przeszkadzało. To rozwiązanie było bardzo wygodne.

Takie były czasy, dosyć trudne, ale trzeba było to wszystko przeżyć. Kiedy tylko ktoś mógł zostać z dzieckiem, a ja mogłam wyjść na zajęcia, było dobrze. Niejednokrotnie trudno było kogoś zorganizować. Ponieważ ćwiczenia na medycynie

ŻONA PIANISTY

były rano i musiałam wyjść przed ósmą, przygotowywałam wcześniej kaszkę dla dziecka, zostawiałam mojemu mężowi i mówiłam: „Nakarm go”. Kiedy wracałam po trzech, czterech godzinach z zajęć, to kasza była twarda, Władek sobie grał, a dziecko płakało, bo nie było w stanie zjeść tej kaszy.

Ale robiłam, co mogłam, żeby studiować. Nie chciałam przerywać studiów na dłużej, więc mimo wszystko chodziłam na ćwiczenia. Natomiast zwykle prosiłam o zwolnienie z wykładów, co nie stwarzało wielkiego problemu, bo zawsze były jakieś notatki, jakaś książka. Można było nadrobić materiał. Starłam się jednocześnie funkcjonować jako studentka, jako matka i jako gospodyni domu, co nie było łatwe.

Oprócz pracy lekarskiej była też pani aktywna w kilku organizacjach...

Od 1960 roku byłam członkiem Towarzystwa Polsko-Szwedzkiego. Stało się to po rozmowie z ministrem Stanisławem Tołwińskim, który w latach 1945–1950 był prezydentem Warszawy, a później pracował w Urzędzie Rady Ministrów. Organizował polsko-szwedzką grupę przyjaciół, a ponieważ było tam zapotrzebowanie na lekarzy, to zaczęła się nasza współpraca. Wspomniałam już o doktorze Neumuellerze, Szwedzie, który przyjechał do Polski i właściwie rozpoczął szczepienia przeciw gruźlicy. To był pierwszy krok do tego, żeby się pozbyć gruźlicy, na którą bardzo dużo ludzi w tym czasie chorowało. Muszę przyznać, że w ogóle miałam sentyment do Szwecji ze względu na to, że mój ojciec bezpośrednio

DWA SPOTKANIA, JEDNA MIŁOŚĆ

po wyjściu z obozu koncentracyjnego został zabrany do tego kraju, i spędził tam parę miesięcy, dzięki czemu powrócił do zdrowia. W tym okresie rzeczywiście wielu ciekawych ludzi ze Szwecji należało do tego towarzystwa. Ja byłam przewodniczącą oddziału warszawskiego. Propagowaliśmy wiedzę o Polsce w Szwecji, organizowaliśmy lekcje języka szwedzkiego i pogadanki na temat tego kraju. To był rodzaj pracy społecznej.

Dzięki temu sporo Szwedów przyjeżdżało do Polski i zdobywało informacje o naszym kraju. Towarzystwo przetrwało do dziś. Pierwotnie miało siedzibę przy ulicy Miodowej w Warszawie w Domu Literatów, który został odbudowany dzięki współpracy finansowej ze Szwecją (obecnie towarzystwo mieści się na Senatorskiej).

Poza tym pracowałam w Towarzystwie Reumatologicznym, co było związane z moim zawodem, i nawet przez pewien okres byłam przewodniczącą oddziału warszawskiego. Do dzisiaj jestem jego członkiem. Robiliśmy posiedzenia poza Warszawą, żeby na terenie, że tak powiem, okołowarszawskim i nawet trochę dalej, w promieniu stu kilometrów, powiadomić ludzi o różnej działalności, nie tylko towarzystwa, ale na temat wszystkiego, co dzieje się w reumatologii i co można zrobić, żeby rozszerzyć działalność lekarzy reumatologów. Kiedy istniało województwo radomskie, byłam na jego terenie konsultantem do spraw reumatologii. Objężdżałam poradnie i reumatologiczne oddziały szpitalne. Istniała wtedy ścisła współpraca pomiędzy

ŻONA PIANISTY

ludźmi, którzy tam pracowali, i Warszawą. Przyjeżdżali do Warszawy i organizowali posiedzenia u siebie.

W ostatnich latach współpracowałam także z Fundacją Sue Ryder. Teraz trochę ta współpraca z różnych powodów się urwała. Sue Ryder była Angielką, która postanowiła po wojnie bardzo dużo zrobić nie tylko dla Polski, ale dla wielu miejsc na świecie, gdzie ludzie potrzebowali pomocy humanitarnej. W Warszawie próbowała zorganizować pierwsze ośrodki, w których rodziła się współpraca w sprawach polsko-angielskich, towarzyszyło jej na przykład finansowe wspieranie różnych towarzystw czy ludzi prowadzących ośrodki dla dzieci. Pieniądze czerpała z różnych spadków w rodzinnej Anglii, a oprócz tego otwierała sklepy, do których oddawało się za darmo niepotrzebne w domu rzeczy, i potem je sprzedawano. W ten sposób zdobywano środki na finansowanie różnych domów czy akcji charytatywnych. Pani Ryder została odznaczona przez królową angielską i nadano jej tytuł arystokratyczny Baroness of Warsaw. W Warszawie, przy placu Unii Lubelskiej, jest muzeum poświęcone jej osobie.